№ 24. Warszawa, dnia (5) 17 Czerwca 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1
Za odnoszenie do domu *kop. 10.*
Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25; półrocznie . „ 2.50; rocznie . . „ 5.—
Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie **flor. 1.80,** Na prowincyi **flor. 2.20.** Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie Księgarnia Polska** Plac Maryacki 11; **w Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60** lub walutą zagraniczną podług kursu.
Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** **„Nadesłane"** wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.
Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa. Chmielna 26.
TELEFON 106.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika" — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał trzeci roku 1899.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści" w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

„MARYSIEŃKA"

Portret historyczny.

(Dalszy ciąg).

„Dwór królewski, skazany przez swą wrodzoną niemoc i łatwość przejmowania się obcymi wpływami na częste natarcia cudzoziemczyzny, przywykł już do zmian podobnych. Obracając się ustawicznie, nakształt spragnionej słońca rośliny, ku zachodnim ogniskom światła i cywilizacyi, od wieków już promienie ich odbijał. Całkowicie włoski za ostatnich Jagiellonów dzięki Bonie Sforza, chwilowo francuzki pod Henrykiem Walezym, od niedawna przybrał barwę niemiecką. Teraz oto ponawia się najazd francuzki. Odmienne żywioły zaczynają ścierać się ze sobą, wiodąc walkę rozpaczliwą. Panna Eckenberg zajmuje pozycyę silną i nie myśli z niej ustępować. Hrabinie Magni, żonie dawnego ministra cesarskiego, który przeszedł w służbę Rzeczypospolitej, udało się zająć ważne stanowisko w samym obozie najeźdźców: została pierwszą damą dworską nowej królowej i zdobyła sobie jej względy „wszelkiego rodzaju przysługami." Na jedną chwilę los przybyszów silnie zagrożony; na dworze przebąkują już o odprawieniu całej służby francuzkiej. Ale mija to szybko—barwy Francyi odnoszą tryumf i pan de Bregy znów daje ton Warszawie, jak to później miał czynić w Sztokholmie."

Dwór przepełniony kobietami, pełny jest też miłosnych intryżek, wojen szpilkowych i alkowianej dyplomacyi. Sam król — o ile pozwala mu na to podagra — bierze udział w ogólnych figlach Amora i rzuca sułtańską chusteczkę to w tę, to w ową stronę—z niejednakowem co prawda powodzeniem.

„Zaloty stały się wykwintniejsze, rozpusta nabrała wdzięku, ale gorączka rozkoszy i uciech zmysłowych bardziej jeszcze wzrosła. Tem głównie wszyscy są zajęci. Za dnia wymieniają czułe liściki — wieczorem spojrzenia i westchnienia. A taniec! a wieczerze sam na sam! Wesołemu kołu nie przewodzi może bezpośrednio królowa, ociężała już nieco, zniechęcona i o czem innem przemyślająca—niemniej, ta atmosfera upajająca z jej osoby wydobywać się zdaje. Miłość i rozkosz tak wiele miejsca w życiu jej zajmowały!.."

Umysł dorastającej dziewczynki wchłaniał mimowoli te wszystkie pierwiastki. Przechodziły one zwolna w jej krew i urabiały ją na podobieństwo otoczenia. Dodajmy, że dziewczynka była na podziw piękna i psuta przez wszystkich, od królowej począwszy—pieszczotami.

Nie trudno zgadnąć, co ztąd wynikło.

Zachował się ciekawy dokument, pouczający nas dokładnie, jaką była Marysieńka w dobie poprzedzającej bezpośrednio jej pierwsze małżeństwo. Dokumentem tym są zapiski zakonnicy ze zgromadzenia św. Benona, które miało klasztor swój w Poznaniu.

Gdy najazd szwedzki wstrząsnął Polską aż do posad, wywracając cały jej porządek polityczny i społeczny, królowa ze swym dworem kobiecym przejeżdżać musiała z miejsca na miejsce. Pewnego razu zatrzymał się dwór w Poznaniu, gdzie, zwyczajem ówczesnym, monarchini oraz towarzyszące jej damy zamieszkały w klasztorach. Pannie d'Arquien wskazano mieszkanie w klasztorze św. Benona.

Pomiędzy rękopisami biblioteki Raczyńskich znajduje się kronika owego klasztoru, dziś już nieistniejącego, a w niej jedna z sióstr zakonnych zapisała o pobycie Marysieńki znamienne szczegóły.

Oto jej słowa:

„Panna d'Arquien przybyła do naszego klasztoru w porze adwentowej. Pomiędzy pannami dworskiemi Królowej Jejmości zajmowała ona pierwsze miejsce. Przełożona ustąpić jej musiała własnej celki, co naraziło ją na wiele niewygód i przykrości, tak, że aż z tego zasłabła i przychodził do niej lekarz dworski.

„...Zachowanie się tej panny nie było dla innych budującem. Kazała ona nocą nawet wpuszczać do siebie swego lekarza. Odwiedzało ją też wielu senatorów, których nieustanne kręcenie się po klasztorze zamącało jego spokój. Aby dostać się do panny, ośmielali się oni nawet przechodzić przez kościół. Spocząć nie dawały ich ciągłe najścia.

„...Panna d'Arquien brała nieustannie kąpiele, a ponieważ w klasztorze wody nie było, musiano ją od rana do nocy przez najętych ludzi z miasta sprowadzać."

Jaskrawe światło pada z tych zapisek na osobę Marysieńki. Widać z nich, że jeszcze przed wystąpieniem Sobieskiego, była ona w całem znaczeniu tego słowa — „Sobkową."

O pierwszem małżeństwie Maryi Kazimiery niewiele powiemy. Pani Zamoyska („księżna Zamoyska," jak Marysieńka nazywać siebie kazała) zajmuje nas tylko pośrednio. Pilno nam do—żony Sobieskiego.

Zamoyski, potomek w prostej linii wielkiego Jana, przypominał owe dorodne, wspaniale wyglądające owoce, które niedoświadczonych wprawiają w zachwyt, a których znawcy do ręki nie biorą, gdyż... mała, prawie niedostrzegalna plamka czerni się na ich powierzchni. Ta plamka wskazuje, że owoce są robaczywe.

Zamoyski był panem olbrzymiej fortuny, dziedzicem głośnego imienia, człowiekiem w sile wieku, mającym otwartą drogę do najwyższych dostojeństw — robak jednak toczył jego wnętrze, grożąc tym wszystkim blaskom rychłem zagaśnięciem. Robakiem była śmiertelna niemoc ducha czy nerwów, sprawiająca, że młody magnat, zupełnie już przeżyty i zniedołężniały, wegetował w swym zamku bez żadnych wyższych dążeń i szlachetniejszych porywów. Był zaś przytem nałogowym pijakiem.

Czy piękna panna d'Arquien, sięgając po ten wspaniały owoc, wiedziała o złowróżbnej na nim plamce? Nie wątpimy, że tak było. Praktyczna ta osóbka czyniła wszystko z zastanowieniem i zupełną samowiedzą.

Mówią, że miłość jest ślepa, a właściwie, że czyni ludzi ślepymi, tu jednak mowy o tem być nie mogło. Najpierw, piękna i zalotna margrabianka nie wychodziła za mąż z miłości, powtóre: byłaż ona do uczucia tego zdolna? Mieć kochanka, a nawet kochanków nie znaczy jeszcze kochać; listy zaś miłosne mogą być wypracowaniami, tworzonemi na zimno lub nawet wprost z gotowych wzorów kopiowanemi.

Inne wszakże potęgi mogły były rzucić urok na pannę, i bystry jej wzrok zaćmić chwilowo. Mieszczą się one w umowie przedślubnej państwa Zamoyskich. Oblubieniec ofiarowywał oblubienicy: sto tysięcy dukatów, jako podarek ślubny, dwanaście tysięcy dukatów rocznie, jako „fartuszkowe," cztery tysiące dukatów renty, zahypotekowanej na swych dobrach—zobowiązywał się zaś wszystko to powiększyć, gdy małżeństwo połączy go z ukochaną i miłość jego wzmocni.

Mimo to wszystko, a nawet mimo tytułu „księżnej," w który Marysieńka odważnie się przystrajała (choć jedyną do niego zasadę stanowić mogło to tylko, że matka męża była księżniczką Ostrogską), życie jej nie opływało w rozkosze. Zamoyski nie miał w sobie nic z Celadona lub Orondatesa, i w rzeczach miłości przypominał chyba tylko—pijanego Fauna.

Kobieta uczciwa miała tu przed sobą dwie drogi: albo wzgardziwszy dostatkami i tytułami, wyjednać rozwód i uciec jak najdalej od tego wyzłacanego piekła, albo też ofiarować cierpienia swe Bogu i żyć z zaparciem się, wypełniając do końca wykonaną dobrowolnie przysięgę. Ostatnia droga była dla pani Zamoyskiej tem łatwiejsza i tem właściwsza, że Bóg pobłogosławił ją dziećmi.

Ale Marysieńka żadnej z tych dróg nie wybrała. Żyła z mężem, znosząc — nie zawsze co prawda cierpliwie — jego wybryki i szaleństwa, i mając na osłodę wielkie bogactwa, wystawne i zbytkowne życie, oraz częste wycieczki do stolicy, a następnie i do Paryża.

Mówią świadomi rzeczy, że w wycieczkach tych, zawsze bez męża odbywanych, „księżna" szukała „rozrywek" i—znajdowała je.

Jedną z rozrywek był Sobieski. Stwierdza to dochowana z owych czasów korespondencya z przyszłym mężem i przyszłym bohaterem, w którym nic jeszcze wówczas pierwszego ani drugiego nie zapowiadało. Był to tylko romansowy „Celadon," żyjący wyłącznie miłością i dla miłości.

Przebieg tego stosunku był zupełnie zwyczajny. Sobieski wzdychał do Marysieńki, gdy była jeszcze panną. Pokonany przez potężnego rywala, stanął na uboczu i — czekał. Opłaciło mu się to. Doczekał się najpierw niezgody między małżonkami, potem zezwolenia na pocieszanie żony.

Marysieńka odegrała swą rolę po mistrzowsku, przeprowadzając ją przez wszystkie, w książkowych romansach wskazywane stopnie. Zanim została „Astreą," występowała w charakterze czułej „mateczki," która swemu „synkowi" (o lat dziesięć od siebie starszemu) nie szczędziła przestróg i nauk moralnych.

Potem przyszła kolej na podarki—niewinne i zawsze z uczuciem „macierzyńskiem" ofiarowywane. Były one tego rodzaju, że nawet sam Zamoyski nic przeciw nim mieć nie mógł. Raz naprzykład znalazł się w ich liczbie — szkaplerz. Dodajmy przy sposobności, że Marysieńka miała szczególną słabość do obdarzania wybrańców swych szkaplerzami. W owym czasie i w późniejszym przyciskało je do piersi wiele osób świeckich i duchownych.

Do świątobliwej posyłki dołączony był list, z którego przytaczamy znamienny wyjątek. List pisany jest lichą francuzczyzną i jeży się błędami ortograficznymi. Mimo to nie można nie nazwać go mądrym.

„Posyłam panu szkaplerz i krzyż z piękną relikwią, a to w tym celu, aby w razie gdybyś pan poległ (Sobieski wybierał się na wojnę) poznano z tych rzeczy, żeś był chrześcianinem. Nie powinieneś pan gardzić tym podarkiem, nie dlatego, że pochodzi odemnie, lecz z powodu relikwii, którą w sobie zamyka; gdyż nie sądź pan, że darzę go jakimiś szczególnymi względami, choć wiemy dobrze oboje, że się pan o żadne względy moje nie ubiegasz i ubiegać się nie powinieneś, ale jest to rzecz, którą zrobiłabym dla wszystkich bez wyjątku.

„Jednak gniewać się muszę na pana za żądanie w ostatnim liście wyrażone; żądasz pan odemnie rzeczy, na którą nie mogłabym przystać bez ubliżenia samej sobie; gdy pan zastanowisz się nad tem uważnie, sam przyznasz, że tak do mnie pisać, jest to sprawiać mi przykrość. Zaklinam więc pana: nie stawiaj więcej żądań, które mnie obrażają, i którym odmawiać jest moim obowiązkiem. I tak już uważam pana za dziecko swoje, posyłając mu swój ulubiony szkaplerz. Żegnam pana; żyjmy zadowoleni na łonie cnoty (*dedans la vertu*)."

Rozumie się, że „zaklęć" nie usłuchano i że żądania szły swoją koleją, coraz śmielsze i natarczywsze. Nie widać jednak z dalszych listów, żeby to dla piszącej było niemiłe. Owszem, korespondencya zabarwia się z każdą chwilą kolorytem coraz cieplejszym.

Jeden z listów jest pełen figlarności i prawdziwie kociego łaszenia się...

„Przyjąwszy pana za synka, zapobiegać muszę, abyś sobie za wiele nie pozwalał i wstydu mi z czasem nie przyniósł. Prawdę zaś mówiąc, obawiam się, że jesteś zanadto zepsuty; wyrzucać też mi będą pewnie kiedyś, żem żałowała rózeczki, gdy byłeś jeszcze mały. Gdybyś mnie kochał, myślałbyś o tem, aby stać się pociechą moją w starości i—ożenił byś się; zaczynam już jednak tracić nadzieję i myślę, że już przez całe życie będzie z ciebie wielkie *nic dobrego* (w oryginale po polsku). Byłam w Sokalu i prosiłam Najświętszej Panny, aby ci zesłała napomnienie; nie jestem wszakże pewna, czy modlitwa moja została wysłuchana."

Wiktor Gomulicki.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Głosy naszej prasy

W sprawie wychodźtwa ludności rolnej.

(Dokończenie).

„Na miejscu i kamień porasta" zwykł był mawiać ten lud w czasie, kiedy szedł automatycznie prawie za duchem wskazań rodzimej mądrości ojcowskiej, podawanej z ust do ust — z pokolenia w pokolenie — wskazań tkwiących tak dobrze w obyczaju całym, jak w nieodłącznych od niego orzeczeniach, gadkach i przypowieściach. Że nie porasta w żadnych wędrówkach sielski, osiadły człowiek, że żaden z włóczęgi tej nie przynosi do domu dostatku, że gdyby raz i drugi przyniósł ten człowiek w progi swoje jesienią jakąś zaoszczędzoną kwotę, to oszczędności te naj-

bliższej wiosny, dzięki nabytym w tych wędrówkach nałogom, z pewnością nie doczekają—że to jednem słowem nie tuczy i nie bogaci, o tem nie wątpi nikt, kto się uważnie bytowi tych czerniaw wędrownych przypatrywał.

Tyle co do bytu materyalnego samych klas roboczych rolnych.

Jak oddziaływa ta wędrówka na stan własności większej, o tem także długo mówić nie trzeba, ale to jest jeden z tych względów, którego w imię bezstronności naprzód samym interesowanym wysuwać nie wolno. Złe warunki, w jakich pozostaje nasza własność większa, nie pozwalają z wszelką pewnością na licytowanie się na ceny najmu z większym posiadaczem niemieckim, ale to nie jest argument, któryby tu mógł zaważyć, a cóż dopiero przeważyć. To jest poprostu kwestya targu między stronami; na braku porozumienia obie strony wyjdą źle w bliższej lub dalszej przyszłości; dzisiaj jedna nie może podołać wymaganiu, a druga źle interes własny rozumie. Jakie czynniki mogłyby doprowadzić do kompromisu, rozbierać nie będziemy, bo rzecz przechodzi zakres tego, cośmy sobie tutaj powiedzieć założyli, to tylko z całym naciskiem podkreślamy, że najniewątpliwiej, gdyby rzeczy pójść miały tym samym torem co idą dzisiaj, własność większa w tych okolicach, w których się ruch emigracyjny z wiosną praktykuje, ucierpi bardzo dotkliwie, a klasy robocze zamiast poprawiać sobie byt stopniowo, cofną się wstecz i pod tym nawet względem.

Nie tutaj jednakże węzeł kwestyi — nie w tych materyalnych minusach tkwi złe dla nas najdotkliwsze.

Kto znając żywoty naszych własnych nomadycznych mass rolnych i dole ich tułacze, zestawić je zechce z położeniem naszych klas osiadłych, zadomowionych, choćby nawet służebnych, ten wie niewątpliwie, iż wszędzie ten tułacz, ten przybłęda, ten wałęsacz z miejsca na miejsce, to jest paria prawdziwy, nawet dla równych sobie stanem i zajęciem, nawet dla swoich krwią i pochodzeniem. Jego moralność, to zawsze moralnośc odtrąconego, który codzień pod innym dachem noc spędzając, ani się potrzebuje zatroszczyć o ludzkie poważanie, o wziętość czy ten jakiś rodzaj ludzkiego uznania — jego praca choćby nie była najcięższą, będzie z pewnością najgrubszą i najbardziej pogardzaną — sam jego wygląd zewnętrzny upośledzony i wstrętny, godnie odpowiada wewnętrznemu poniżeniu, do którego z czasem nawyknąć musi koniecznie. Dodajmy do tego nieubłaganą w danym wypadku dla plemienia na szego teutońską nienawiść, weźmy w rachunek uwłaczające epitety i wzgardliwe traktowanie, którego ofiarą jest i będzie nasz człowiek w każdem z prusaczem plemieniem zetknięciu, a będziemy mieć obraz tej szkoły, która nam z biednego mazura naszego w krótkim czasie wytworzy jakąś nową odmianę, mogącą być niby żyjącem świadectwem naszej kulturalnej niższości.

Lud nasz wyrobił sobie przez wieki swoje zamiłowania i swoje wstręty—do pierwszych liczyła się zawsze w pierwszym rzędzie osiadłość i zadomowienie się — te drugie musiał on mieć bardzo zdecydowane i wyraźne, skoro szereg cały epitetów obelżywych, takich naprzykład jak: *obieżyświat, wołokita, powsinoga* nielitościwie stosował do tych wszystkich, którzy z jakiegokolwiek powodu nie mogli, jak to mówią, zagrzać kąta, ustalić się, stworzyć sobie bytu spokojnego i trwałego. Ktoby mógłbył przypuścić, że w krótkim czasie lud ten wyrzucać z pomiędzy siebie zacznie rzesze całego tego ruchomego piasku, który po ziemiach obcych rozpraszać będzie nieświadomie resztki lepszych pierwiastków własnego ducha, a w domowe progi wnosić obcą zgniliznę wraz z pogardą dla wszystkiego co swoje.

Że włóczęga odnaturzy nam człowieka naszego, że go znieprawi i zrobi niepodatnym rozwojowi w duchu pożądanym, o to sporu prowadzić się chyba nie ośmieli najbardziej nawet zaślepiony optymista.

Mówiliśmy tylko o męzkiej części tych emigracyi rolnych rok rocznie powtarzających się — na tych szkodach i stratach zatrzymamy się w roztrząsaniach naszych. Zbyt dotkliwie przedstawiają się nam wynikłości wciągania kobiety z ludu w to cygańskie życie, i zbyt gorzko upokarza nas ten objaw w mniemaniu własnem, iżbyśmy tę sprawę z należytym spokojem traktować mogli. Jeśli tamto nazwiemy obniżaniem się etycznem człowieka, udział kobiety traktowaćbyśmy musieli jako jej upadek stanowczy, i dlatego kobietę należy tutaj pomieścić w kategoryi nieletnich. Dla tamtych dojrzałych i niby świadomszych środki ochronne i zapobiegawcze—dla rubryki ostatniej prosty zakaz. Tutaj pobudki ekonomicznej natury wypuścić już musimy z rachunku, bo dla nieletniego i dla kobiety, służby i wolnego najmu na warunkach korzystnych jest nie już dostatek, ale nadmiar, a jeśli idąc za przykładem starszych włóczyć się i oni już zaczynają po obczyźnie, to tylko obniżenie się powagi rodzicielskiej uznać możemy jako sprężynę złego. Jest to zatem objaw, który nam się ukazuje nie jako pojedynczy i odosobniony, owszem jest on w ścisłem znaczeniu wynikłością tych warunków, w jakich się młode pokolenia mass rolnych wychowują. Dziś podoba się takiemu chłopcu czy dziewczynie takiej iść po zarobek do Niemiec na kilka miesięcy letnich, za rok przekona ich pierwszy lepszy agent o korzyściach wędrówki za ocean, i tak jak się rozstawali z lekkiem sercem na czas krótki z otoczeniem swojem dalszem, z rodziną najbliższą, z wioską, w której się urodzili, tak samo rozstaną się na resztę życia nie obejrzawszy się na to, co porzucają, gdy im to wszystko co opuszczają, a z czem nie zrośli się sercem bynajmniej, poza pierwszym gajem i poza pierwszą górą raz zniknie z oczu.

Poezya ozłaca ich wszystkich razem dzisiaj; poezya pokazuje nam tego kmiecia, szlejącego z tęsknoty tam za oceanem, biegnącego w świat na ślepo szukać swoich, gdy mu złudne zmysły przyniosą zdala rzekome kołatanie cierlic i woń lnu suszonego jesienią. My podziwiamy takie obrazy z punktu zapatrywania artystycznego, nam z oczu nie schodzi ta rozwiana płótnianka dobrowolnego wygnańca, ale to poezyi wolno się zapędzać tak daleko, a my poziomi ludzie, notujący objawy życiowe na zimno i na trzeźwo, musimy na marginesie tej przepięknej elegii zanotować, że przedewszystkiem ten wygnaniec jest dobrowolnym—że musiał on koniecznie wpierw pogardzić tem, co rzucał, zanim porzucił, że się wyprzedał z ojcowizny w widokach szybkiego zbogacenia się, a jeśli się nie wyprzedał jako bezrolny, to w każdym razie pieniądz, który brał ze sobą na koszta przejazdu, byłby mu tu w jego kraju przy dzisiejszych ułatwieniach banku pośredniczącego, wystarczył do okupienia się na własnej swojej ziemi, o czem on wie równie dobrze, jak my, a nawet lepiej od nas.

Że głód zmusza górala naszego do zejścia na doliny i szukania zarobku, którego w domu znaleźć nie może, to fakt, i dlatego serdecznie współczujemy z tym góralem, ale nie możemy doświadczać tego samego na widok mass całych, którym żądza włóczęgi wraz z chęcią użycia wyżarła, jak się pokazuje, zarodki tych cnót, które ich mogły podnieść i uobywatelić z czasem.

Tu już trafiamy na istne koło zaczarowane stosunków i oddziaływań. Nie wszczepi dziecku uczucia przywiązania do własnej skiby i strzechy, kto tego uczucia w piersi własnej niema; wątpliwości zachodzą azali wszczepić go zdoła i taki, któremu na niem nie zbywa, bo napór warunków zewnętrznych jest bardzo silny, powaga głosu rodzicielskiego zesłabła, a właściwie mówiąc zeszła do zera. Wędrowanie, włóczęga, rozłażenie się naszych mass rolnych, sądzonem oddzielnie jako objaw być nie może. Jest ono niejako wynikłością przyczyn nader złożonych, a zarazem zaczątkiem jakiegoś nowego procesu wewnętrznego, który oby nie okazał się rozkładowym.

Jakkolwiekbądź jest, sferom pozostającym z natury rzeczy w ciągłych a blizkich stosunkach z ludnością rolną, nastręczyć winien ten stan rzeczy cały obszar myśli i środków oddziaływania. Książka pouczająca, tak zwany najogólniejszym terminem: elementarz—dobry, potrzebny, konieczny, niezbędny, ale ów elementarz na złe, które zdaje się trawić organizm tej warstwy społecznej, dostatecznym chyba się nie okaże. Nawet ten stopień wykształcenia, któryby człowiekowi naszemu dał możność korzystniejszego wyzyskiwania swojej ziemi, a przeto zwiększył jego dobrobyt materyalny, nie będzie na tę chorobę lekarstwem, bo tu właściwie nie o wykształceniu, a o wychowaniu mowa być winna, o takiem wychowaniu, któreby człowiekowi temu przeszkodziło do porzucania tego, co porzuca za pierwszą pokusą i za byle jakim podszeptem. Nie łudźmy się, aby do powstrzymania tego objawu groźnego i wszelkich jemu pokrewnych, przyłożyć się mogła inna jaka siła, oprócz tej siły, która tkwi w rodzinie. Mówimy o rodzinie w znaczeniu patryarchalnem, bo przedewszystkiem do stopnia umysłowego rozwoju tej warstwy społecznej, tylko patryarchat rodzicielski przystosować się daje. Może być, że on dla wielu z pomiędzy nas wydaje się formą przeżytą, że daremnemi byłyby wysiłki zmierzające do wskrzeszenia go — oto wszystko sporu prowadzić nie myślimy, to wszakże jest pewnikiem, że jeśli nie zdobędziemy się na dogmat dosyć potężny, dzięki któremu z człowieka zrodzonego na roli mógłby znowu po-

wstać taki glebae adscriptus z woli obyczaju i tradycyi, jaki był niegdyś z woli prawa, nic tych rozlewań się masowych na obczyznę i tych ucieczek za oceany nie powstrzyma.

Wyrabiajmy człowieka, jeśli możemy, mając przedewszystkiem i na każdą chwilę w pamięci, że niema oddziaływania skuteczniejszego, jak oddziałanie przykładem z góry.

S.

Sprawozdania literackie.

Józefat Nowiński: Biała gołąbka, dramat w 5-ciu aktach.

(Dokończenie).

Prześliczne są wszystkie sceny, w których Carraro i Bianka wyznają sobie miłość—subtelnem niezmiernie stopniowanie rozwoju tej miłości.

W pierwszej chwili Carlo, którego księżniczka zna jedynie pod przybranem nazwiskiem Jana du Lieu, wpółżartobliwie, wpółnamiętnie oświadcza swe uczucia mniemanej towarzyszce księżniczki. Ona jest jego całą duszą od pierwszego spojrzenia. Z dniem każdym namiętność młodzieńca wzrasta, a od chwili, w której dowiaduje się, że ukochana jego jest córką ks. Moleny a siostrą zabitego, uczucie jego dla niej zabarwia się odcieniem głębokiego bólu, jakby przeczuciem przyszłej żałoby. Ale też w tej chwili miłość ta jest tak silną, że przeważa marzenia całego życia, wszystkie zamysły, wszystkie plany zemsty za wydartą przodkom władzę, za zrujnowane gniazdo rodzinne, za swoje długie po świecie tułactwo. Carlo wszystko to puszcza w niepamięć i sprzymierzeńcowi swemu ks. Sarmy szle wiadomość, że odstępuje od knowanych długo planów wojennych.

Teraz marzy on już tylko o porwaniu ukochanej swej Bianki i uwiezieniu jej w kraj pogodny, zdala od zdrad, podstępów, krwi. Ale sprzymierzeniec, który przedewszystkiem pragnie posiąść Seggio, nie myśli cofać się wpół drogi. Pod pozorem obrony praw pretendenta, czy bez tego kłamliwego szyldu, wojna rozpocząć się musi. Wówczas Jan du Lieu zaciąga się w szeregi ks. Moleny, żeby bronić swej białej gołąbki.

Walka toczy się naturalnie poza sceną.

Jakim sposobem przyczynia się mniemany Francuz do stanowczego zwycięstwa ks. Moleny, nie objaśnia bliżej autor, dość, że ten książę przed wojną już podejrzewający córkę swą o skłonność miłosną dla pięknego cudzoziemca, nie śmie pozbyć się skrytobójczo zasłużonego rycerza, jak to sobie był obiecywał wówczas. A nawet powodowany wdzięcznością dla przybysza i przywiązaniem do córki (bo ten stary okrutnik ma w dzikiem sercu potężną miłość i jakiś podziw dla tej słodkiej dziewczyny), decyduje się na oddanie Bianki hr. Janowi du Lieu.

W przejmującej scenie, która z pewnością niemałem powodzeniem cieszyć się będzie w teatrze, książę Moleny oświadcza powracającemu zwycięzcy, że wzamian za położone zasługi wolno mu żądać wszystkiego, że nawet najśmielsze jego żądania będą zaspokojone, choćby nawet krwi ks. Moleny zażądał.

Ale Carlo nie czuje się na siłach do odgrywania przez całe życie komedyi, nie chce kłamać przed Bianką, nie chce by nieświadomie poślubiła mordercę swego brata; domyśla się przytem, że został już poznany; stary dworzanin księcia, Lapi, patrzy nań podejrzliwem okiem, lud cały jakby odgadywał w nim potomka dawnych swoich władców, obdarza go niezwykłą sympatyą. Prędzej czy później tajemnica musiałaby wyjść na jaw.

Na coraz gwałtowniejsze nalegania księcia, którego sangwinistyczny temperament unosi, i doprowadza niemal do narzucania córki temu cudzoziemcowi, du Lieu odpowiada milczeniem, prosi o przebaczenie za swą śmiałość, mówi o przewinieniach swoich, doprowadzając tem do szaleństwa księcia, który teraz zaczyna nareszcie podejrzewać straszną prawdę, a radby, żeby go raczej łudzono, niż żeby ta prawda w całej swej okropności stanąć miała przed nim. Ale Jan du Lieu już postanowił zrzucić maskę.

W chwili, w której wymawia potępione w tym domu nazwisko, wszystkie szable dobywają się z pochew, rozlewu krwi nic już nie wstrzyma. Nad zapowiadającą się groźnie sytuacyą zapada kurtyna.

W następnym akcie rzeczy bieżą szybko do rozwiązania.

Widzimy w nim ks. Moleny zupełnie już niemal obłąkanego, zgnębionego chorobą Bianki, której nić żywota stargana pęknąć ma lada chwila. A pod murami Moleny — nieprzyjaciel, a nieprzyjacielem tym teraz Carlo Carraro.

Lud Moleny, pragnący zmiany, czeka nań niby na oswobodziciela, a stary książę nie może nagiąć umysłu do zajęcia się sprawą obrony swego domu, który zresztą wygasa. Godziny życia Bianki policzone, serce jej jako ptak na uwięzi wyrywa się do lotu w błękity. Śmierć jedyną jej nadzieją. „Gdzież dla mnie miejsce na ziemi? — mówi w tych chwilach przedzgonnych. — Do czegóżbym ręce wyciągnęła? (po chwili ciszej) Byłabym złą mniszką (ciężej oddycha). A do niego? Przez to morze krwi? Trzeba, trzeba..." Chwilami młodej duszy trudno jednak pożegnać się z marzeniami swemi. „Czy ty myślisz—mówi Bianka do towarzyszki — że nie pragnę szczęścia? Że nie chciałabym żyć? Ach Giovanni mój! Giovanni! Giovanni! (Nagle z przerażeniem) Carlo!"

W tych scenach ostatnich autor gra na sercu czytelnika i każe mu płakać nad konającą białą gołąbką.

Carraro wchodzi do miasta. Książę przed portretem syna wychyla puhar zatruty. Ale Carrara nie powita Bianka. Zastaje ją białą, cichą, na łożu śmierci. Przez morze braterskiej krwi nie mogła przebrać się do niego. Sił jej zabrakło.

Carraro zdaje rządy Moleny jednemu ze swych przyjaciół, sam spieszy stanąć w szeregach maltańskich obrońców wiary, jak życzyła sobie przed śmiercią Bianka.

Tak przedstawia się szkic poematu skreślony grubymi rysami. Pominąć tu musiałam mnóstwo postaci drugorzędnych, oddanych przez autora z niezmiernym wdziękiem i plastyką. Jedną z najpiękniejszych, choć epizodycznych tylko figur dramatu, jest malarz Roselli, nieoceniony geniusz, marzyciel rozkochany w Biance.

Prześliczną jest rozmowa jego z księżniczką, która swą marzycielską duszą poetki przeczuwa w nim wielkiego człowieka, ale nie domyśla się miłości jego dla siebie. W słowach Rosellego brzmią wyznania i skargi wszystkich dusz twórczych, tak wrażliwych, że „nawet miłosne dotknięcie boli je jak opatrunek rany," tak dumnych swą królewskością tajemną, jak gdyby były krzakiem ognistym, z którego wychyla się twarz Boga.

Na zapytanie, czy kochał kiedy, Roselli odpowiada:

„Szalałem dla Madon, dla nocy gwiaździstych, dla nieskończoności mórz, dla szczytów śnieżnych, dla ksiąg, dla kobiet nawet— aż do gotowości oddania im życia.

„Tylko marzenie!.. — spowiada się dalej.— W jego tylko krainie mi dobrze. Tam panuję—panowaniem nieziemskiem. Żyjąc i umierając, w rozkoszy czy męce, w uścisku miłości czy nienawiści, mary me słuchają woli mojej, nie pomyślanej nawet jeszcze, dziwiąc mnie i zachwycając. ...Tam cieplarnia, gdzie ogrodnik wszechświata w klimacie swego tchnienia hoduje pierwowzory, których nasienie karłami zaludni ziemię. To też kiedy mi ten gaj rośnie, jestem jak mocarz — wygnaniec w obcem mieście, gdzie nieznanego, a zadumanego lada sklepikarz potrąca."

Z ekstazy artystycznej Roselli wpada w uniesienie miłosne. Przestaje panować nad sobą, zapomina z kim mówi i chwytając rękę Bianki, woła: „pokochaj mnie, na jedno mgnienie! I niech ginie... nawet królestwo moje!

Bianka przerażona niespodziewanym tym wybuchem, wyrywa się: „Puśćcie mnie, puśćcie!—Powiem ojcu!

Te słowa przywołują artystę do rzeczywistości.

Miejsce ekstazy zastępuje ironia gorzka.

„Nędznej pijawce italskiej poskarży się na miłość wielkiego geniusza Italii!.."

Nie mogę zatrzymywać się dłużej nad rozrzuconemi hojnie po wszystkich aktach i scenach niezwykłemi pięknościami utworu.

Niezadługo zresztą czytelnicy na scenie teatru powitać będą mogą nowego poetę-dramaturga niezwykłej, jak się zdaje, miary.

H. C.

Coś gorszego

od pomyłki sądowej.

Od dwóch lat z górą ma cały świat cywilizowany zwróconą uwagę na dramat rozgrywający się we Francyi.

W roku 1894 oficer generalnego sztabu francuzkiego, kapitan artyleryi Alfred Dreyfuss, oddanym został pod sąd wojenny, jako podejrzany o sprzedawanie mocarstwom obcym tajemnic organizacyi militarnej i ulepszeń technicznych w artyleryi. Oprócz podejrzeń, zebranych przez biuro wywiadowcze sztabu generalnego pod kierunkiem kilku oficerów wyższych, z których wymienimy najpierw tylko pułkowników: Sandherra, margrabiego du Paty de Clam i Henry, znalazły się i dowody materyalne zbrodni, a mianowicie: list pisany ręką Dreyfussa do osoby, której on zbywał te wiadomości i tajemnice, tudzież korespondencya między dwoma radcami wojskowymi ambasad zagranicznych, w której nie był wprawdzie Dreyfuss wymieniony z nazwiska, z której jednakże można się było domyślać, że jego właśnie mieli na myśli korespondujący.

Oskarżony protestował, zapierał się; zaklinał o zwrócenie dochodzeń w innym kierunku, robił jednem słowem wszystko, co zwykli czynić ludzie, nie mający możności usprawiedliwienia się z zarzutu, albo, jeśli kto woli, ludzie uporczywie zamykający się w systemie negatywnym obrony.

Rzecz rozstrzygnął sąd wojenny dla oskarżonego nieprzychylnie. Jako zdrajcy odebrano Dreyfussowi stopień, odznaczenia, skazano go na deportacyę do kolonii karnej na całe życie, dopełniwszy przed zesłaniem wszelkich praktykowanych w takich razach szykan, a w szczególności degradacyi przed frontem wojsk. To ostatnie liczy się, jak wiadomo, w każdej armii za najcięższą z kar, jaka żołnierza spotkać może. Ceremoniał jest w istocie okrutny, bezlitośny, taki, jaki właściwie stosowanym być może tylko względem ludzi najbardziej poniżonych, względem zdrajców i renegatów.

Wyrok ten zapadł 5 Stycznia 1895 roku po czterech miesiącach, przez które odbywały się dochodzenia i formalności proceduralne, szło bowiem o to, aby cień nawet na tem skazaniu w przyszłości się nie odnalazł, cień dający możność podejrzeń o niedosyć sumienny wymiar sprawiedliwości, którymby ktoś mógł obrzucić sfery wojskowe francuskie. Nie lada jakim ludziom powierzają się przecież sprawy podobne; w sądach wojennych uczestniczą żołnierze nieposzlakowanego honoru—wyżsi nad posądzenia.

Dreyfuss pojechał sobie tedy na wyspę Dyabelską, gdzie zbudowano nawet dla niego jakieś specyalne więzienie, bo był żydem, miał rodzinę możną w Alzacyi, a wiadomo, co znaczy solidarność żydów i ich zdolność do uchylania się od wymiaru sprawiedliwości. W Paryżu została żona i dzieci zdrajcy. Wszystko ucichło po jakimś czasie tak, że nawet ci najbliżsi głosu nie śmieli podnieść, bo oburzenie było powszechne, a wreszcie od czegóż dobrze zrozumiany antysemityzm?

Powaga rzeczy osądzonej nie daje się kwestyonować, jak to następnie po sto razy z ust trybunałów nagabywanych w tej sprawie usłyszeć miała Francya, a za Francyą świat cały.

W 1897 roku jednakże odwróciła się karta. Dzięki dochodzeniu w samem łonie sztabu generalnego poczętemu, zaczęły się budzić wątpliwości co do tego, czy w istocie Dreyfuss skazanym został sprawiedliwie. Wątpliwości te powziął pułkownik Picquart, podówczas naczelnik biura wywiadowczego, ale robotę jego, a raczej intencyę roboty stłumiły władze wojskowe w samym zarodku. Picquart wysłany został z missyą do Tunisu, a gdy ztamtąd od władz miejscowych dostał pozwolenie powrotu do Francyi, dowiedziawszy się o knutych przeciw sobie machinacyach, zaskoczył go w drodze rozkaz sztabu generalnego, zobowiązujący do udania się w interesie służby na prowincyę. Do Paryża nie pozwolono mu powracać.

Jednocześnie transpirowało to wszystko powoli na Paryż, a wraz z mnożeniem się wątpliwości co do winy Dreyfussa, wypływać zaczynało inne nazwisko wykryte przez Picquarta, mianowicie majora Esterhazy'ego. Odgłosy te bardzo energicznie głuszyły zapewnienia pierwszych dygnitarzy generalnego sztabu, równie jak wrzaski antysemickiej prasy, która głośno mówiła o syndykacie żydowskim, zorganizowanym dla wyswobodzenia winowajcy wszelkim sposobem—legalnym czy nielegalnym—najpierw, rozumie się legalnym.

Picquart nie dawał za wygranę. Charakter i intelligencya tego człowieka, jak się przekonał świat, wykazały, że słuszność miał generał Galliffet utrzymując, iż pułkownik Picquart to człowiek, przed którym otwarte są najwyższe stopnie hierarchii wojskowej, żadnego nie wyłączając.

Picquart jednakże, mimo że był naczelnikiem biura wywiadowczego, nie ufał sobie; miał przekonanie moralne co do niewinności Dreyfussa i winy Esterhazego, ale z wartości prawnej nagromadzonych dowodów nie potrafił sobie jak należy zdać sprawy, i dlatego zaradzić się musiał adwokata Leblois, blizkiego sobie i zaufanego człowieka, zwłaszcza, że czuł całą sieć intryg zwróconych przeciw sobie, i całą podstępną grę własnych podwładnych, udaremniających z jakiejś tajemniczej woli jego rozporządzenia. To wtajemniczenie człowieka obcego hierarchii wojskowej, policzono mu następnie za wielkie przestępstwo, a nawet zaprowadziło go ono na ławę oskarżonych, z której moralnie biorąc, zszedł w ostatnich dopiero tygodniach.

Niesłychane to są rzeczy—rzeczy niepodobne prawie do wiary, wobec republikańskiej jawności organów rządu. To też zobaczymy w toku opowiadania, jak misterną a zaciętą była obrona generalnego sztabu francuzkiego, który zaczynał nareszcie uczuwać, że mu się grunt chwieje pod stopami, i że może wypadnie jemu przed forum opinii stanąć w roli oskarżonego.

Na te ostatnie tory popchnął sprawę dopiero krok p. Scheuerer-Kestner, senatora. Trzeba było człowieka tak znacznej powagi, żeby zmusić izby i rząd do porzucenia roli biernej, a opinję poruszyć tak skutecznie, iżby wszystkie męty tej sprawy wydobyły się na powierzchnię.

Szczegółów, a nawet przebiegu w treści tego wystąpienia podawać nie możemy, bo to na dziesiątki tomów grubych liczy się każdy pojedynczy etap tej sprawy osobliwej. Powiemy tylko, że dobierano się do prawdy w tym peryodzie tylko półsłówkami, że odpowiadały tylko ogólnikami zainteresowane strony, które uporczywie dawały do zrozumienia, że to jest beczka dynamitu ta sprawa Dreyfussa, że ten, kto ją poruszać się ośmiela, to zły, albo lekkomyślny człowiek, bo ujawnienie zawikłania grozi Francyi wojną natychmiastową, zniszczeniem i Bóg wie nie czem nareszcie. A co do Dreyfussa, to był on zdrajcą, zdrajcą niezaprzeczonym, skazanym na mocy akt osobnych, akt tajnych procesu, do których przystęp mogą także mieć tylko mężowie wyjątkowego zaufania, a których przedstawienie publiczne, to wojna na dwa fronty, a może i na więcej frontów.

Żydowskiego też syndykatu potrzeba było prawdziwie na to, żeby spotwarzać człowieka tak czystego, jak Esterhazy, dzielnego oficera, któremu ściskali publicznie rękę generałowie, którego książą Orleański manifestacyjnie brał w objęcia w sali posiedzeń, aby cień nawet posądzeń na tym mężu bez skazy nie pozostał.

Picquart wyszedł z tych pierwszych opałów jeśli nie jako niespokojnik, intrygant i najgorszy, bo niesubordynowany podwładny, to w każdym razie jako człowiek dotknięty monomanią winy Esterhazego i niewinności uznanego zdrajcy Dreyfussa.

Sprawa narobiła bądź co bądź wrzawy, umysły zaniepokoiły się, a wzburzenie doszło punktu kulminacyjnego, kiedy Emil Zola podjął oskarżenie i w otwartym liście swoim, odrukowanym w dziennikach, rzucił jawne i kategoryczne oskarżenie sztabowi generalnemu o świadome ukrywanie prawdy, ministrowi wojny o ukrywanie winowajców przed zemstą sprawiedliwości, a rządowi o słabość, nieudolność i złą wiarę.

Ztąd głośny proces Zoli, ztąd niezapomniana obrona adwokata Labori, a jakkolwiek zarzutu dyfamacyi nie obalono, jakkolwiek Zola został tymczasowo skazany na detencyę i grzywny, to jednak z samego toku procesu wyłoniła się wątpliwość zasadnicza, czy w istocie były to obelgi zbyt śmiało rzucone w oczy władzom, czy też był Zola potwarcą i oszczercą.

W tym procesie, w którym trybunał stosując się do instrukcyi ministra sprawiedliwości, odegrał rolę nader smutną, aż do znudzenia przy każdym nowym szkopule powtarzając swoją formułkę: „kwestya nie będzie postawioną,” którą pozbywał niezmordowanie adwokata Zoli — w tym procesie zły los uwziął się dać pole generalitetowi francuzkiemu do ostatecznego i nieodwołalnego zszarzania swojej powagi i swojego po tylekroć zaprzysięganego honoru. Generałowie Gonse, Boisdeffre, Zurlinden, Pellieux, Mercier, pułkownicy Henry, Paty de Clam, Sandherr, wszystko to kłamstwem połączonem z butą

niezmierną, zarobiło sobie na niesławę, której rozmiary i głębią rozpoczynający się dopiero teraz rehabilitacyjny proces Dreyfussa w zupełności ukazać powinien.

(*Dokończenie nastąpi*).

R. Kipling.

JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ.

Tłóm. z angielskiego M G.

— Tak! Chimo niech leży tu, w nogach łóżeczka i różowa książeczka także, i kawałek chleba, bo może w nocy zachce mi się jeść—i to już wszystko, miss Biddums... Pocałuj mnie i będę spał... O! książeczka wsunęła się pod poduszkę i zgniotła chleb... Miss Biddums! miss Biddums! Tak mi nie wygodnie! Chodź i popraw, miss Biddums!

Jego królewska mość kładł się spać, a biedna, cierpliwa miss Biddums, ogłaszająca się zwykle, jako „młoda osoba europejskiego pochodzenia," uzdolniona do opiekowania się małemi dziećmi, uspokajała jego królewskie kaprysy. Udawanie się na spoczynek było ceremonią długo trwającą, bo jego królewska mość miał zwyczaj zapominać za kogo z nielicznych swoich znajomych odmówił modlitwę, a kogo pominął, więc ażeby nie obrazić Najwyższej Istoty, po parę razy rozpoczynał i poprawiał swój dziecinny paciorek. Czasami pięć razy z rzędu. Jego królewska mość miał równie niezachwianą wiarę w skuteczność modlitwy, jak w wierność Chima, ukochanego pieska, i w doskonałą mądrość miss Biddums, która umiała zdjąć jego fuzyjkę „z prawdziwymi kapiszonami" z najwyższej półki szafy.

Ale na progu dziecinnego pokoju kończyło się jego państwo. Z drugiej strony zaczynało się królestwo jego ojca i matki — dwojga ludzi budzących w nim głębokie uszanowanie i nie mających czasu na rozmowy z jego królewską mością. Po przejściu granicy, władca ten zniżał głos, hamował swoje ruchy, a duszę jego przejmował podziw na widok poważnego człowieka, siedzącego przy biurku w samotnym gabinecie pełnym książek, i pięknej kobiety, wsiadającej lub wysiadającej ze wspaniałego powozu.

Do tego człowieka należały tajemnice szuflady biurka i kosz pełen papierów; do tej kobiety obszerna komnata z porozwieszanemi niesłychanej piękności szatami, przejęta wonią perfum, z gotowalnią, na której rozłożone były rozmaite cuda: cały tłum grzebieni, puszek, flakonów, szczotek „z białymi włosami."

Lecz dla jego królewskiej mości nie było miejsca ani wśród urzędowej, sztywnej powagi, ani wśród światowych przepychów. Zrozumiał on to dawno—bardzo dawno, na długo przed przybyciem do tego domu Chima—zanim jeszcze miss Biddums posiwiała nad czytaniem paczki pożółkłych listów, które jak się zdawało, były najdroższym jej skarbem. Jego królewska mość bardzo rozsądnie nauczył się oddawna ograniczać do własnych posiadłości, gdzie tylko miss Biddums i to w małym stopniu dzieliła z nim władzę.

Od niej to nauczył się pierwszych zasad teologicznych, i katechizmowe pojęcia pomięszał z opowieściami o bożkach i złych duchach, o których opowiadała mu indyjska służba.

Miss Biddums też powierzał z równem zaufaniem uszkodzone swoje ubranie i najcięższe troski. Ona jedno i drugie umiała naprawiać. Wiedziała w jaki sposób została stworzoną ziemia, i umiała uspokoić drżącą duszyczkę jego królewskiej mości w owe straszne dni lipcowe, kiedy deszcz lał bezustanku przez siedem dni i przez siedem nocy, a nie było nigdzie arki i nawet kruki znikły bez śladu! Była ona najpotężniejszą ze wszystkich ludzi, z którymi król miał do czynienia — rozumie się z wyjątkiem tych dwojga zawsze milczących a niedostępnych, których posiadłości zaczynały się za progiem królewskiej komnaty.

Zkądże mógł wiedzieć ten król, że przed sześciu laty tej samej wiosny, gdy on miał przyjść na świat, jego matka znalazła przypadkiem w papierach męża list pewnej szalonej kobiety pociągniętej jego powagą i pięknością. Zkądże mógł wiedzieć ten król ile złego jedno spojrzenie na kawałek papieru wyrządziło duchowej istocie młodej kobiety, rozpaczliwie zazdrosnej żony? Zkądże mógł wiedzieć, pomimo całej swojej głębokiej, królewskiej mądrości, że ten list stał się powodem rozdziału pomiędzy matką a ojcem, rozdziału, który wzrastał z upływem czasu, i z każdym rokiem stawał się zupełniejszym? Zkąd mógł wiedzieć, że matka wydobywszy ten szkielet z papierowej mogiły, zrobiła z niego swego nieodstępnego towarzysza, który zatruwał jej każdą chwilę życia?

Wszystko to leżało poza granicami wiedzy jego królewskiej mości. On wiedział to tylko, że jego ojca zajmowały jakieś tajemnicze prace, a matkę nieznane mu również zabawy. Towarzyszył jej zwykle pewien pan, dla którego jego królewska mość nie miał żadnej sympatyi.

— On się nigdy nie śmieje — odpowiadał miss Biddums, która usiłowała złagodzić tę niechęć.—Tylko wykrzywia usta i robi miny kiedy mnie chce zabawić, a mnie to wcale nie bawi.

I jego królewska mość potrząsał główką, jak ktoś, co zna dobrze zwodniczość ludzi i świata.

Co rano i wieczór obowiązkiem jego było zanieść pozdrowienie ojcu i matce; ojciec odpowiadał uroczystym uściskiem dziecinnej rączki — matka równie uroczystym pocałunkiem. Raz jeden odważył się król zarzucić jej rączki na szyję, tak jak zwykle robił z miss Biddums. Otwarty rękaw jego sukienki zaczepił się o kolczyk, i zakończeniem tego samodzielnego występu jego królewskiej mości był bolesny okrzyk matki i rozkaz wyprowadzenia go z pokoju.

— Te źle—pomyślał uprowadzany monarcha—to bardzo źle, że *Memsahib* *) wieszają takie rzeczy przy uszach. Będę pamiętał na drugi raz...

I nigdy już nie powtórzył nieudanej próby.

Miss Biddums, trzeba przyznać, psuła go o ile mogła, chcąc mu wynagrodzić to, co nazywała „srogością tatusia i mamy." Ona, tak samo jak jej wychowanek, nie wiedziała nic o niezgodzie między mężem a żoną, o głębokiej wzgardzie jednej ze stron dla kobiecego nierozsądku — o gniewnej, zaciętej urazie drugiej strony. Miss Biddums wychowywała już sporo dzieci, przebywała w wielu domach. Była dyskretną, mało widziała, a mniej jeszcze mówiła, i gdy jej wychowańcy wypływali na fale, unoszące ich ku szerszym widnokręgom, pakowała skromne zawiniątko i szukała nowego miejsca, obdarzając swojem uczuciem coraz to nowe pokolenie niewdzięczników. Jeden tylko król odpłacił uczuciem jej przywiązanie; jego też niewiele rozumiejącym uszom powierzyła dzieje wszystkich swoich pragnień, nadziei, zawodów i opisywała olśniewającą wspaniałość rodzinnego domu w Kalkucie, przy placu Wellingtona.

Wszystko co było dobre przedstawiało się oczom jego królewskiej mości „dobre jak w Kalkucie." A jeżeli miss Biddums sprzeciwiła się czasem jego królewskiej woli, odwracał to porównanie i dla podraźnienia czcigodnej damy, wszystko co złe nazywał „złe jak w Kalkucie," dopóki łzy skruchy nie zmyły śladów urazy.

Od czasu do czasu miss Biddums wypraszała dla niego pozwolenie przepędzenia dnia w towarzystwie córeczki komisarza, sprytnej czteroletniej Patsie, która ku wielkiemu zdumieniu jego królewskiej mości była ubóstwiana przez rodziców. Skutkiem rozmyślań, których bieg jest niezrozumiały zupełnie dla istot oddawna wyszłych z lat dziecinnych, doszedł on do wniosku, że powodem miłości, jaką rodzice otaczają Patsie są jej jasne włosy i szeroka niebieska szarfa, którą zwykle nosi.

Zatrzymał król w tajemnicy to niepospolite odkrycie. Nie było w jego mocy zdobyć jasnych włosów, bo jego własne kręcące się kędziorki były ciemno-orzechowe, ale można było postarać się przynajmniej o szarfę. Zawiązał olbrzymi węzeł na firankach osłaniających przed moshitami jego łóżeczko, dla pamięci, żeby zapytać Patsie przy pierwszem widzeniu o radę. Było to jedyne dziecko, z jakiem rozmawiał, niemal jedyne jakie znał kiedykolwiek. Dziecinna pamięć i wielki splątany węzeł zrobiły swoje.

— Patsie! pożycz mi swojej szarfy — powiedział do niej jego królewska mość.

— A może ją podrzesz?—odrzekła niepewnym głosem Patsie, pamiętająca różne okropności, jakich dopuszczał się król względem jej lalki.

— Nie! nie podrę! Będę ją nosił.

— Chłopcy nie noszą szarf! — objaśniła Patsie.—Tylko dziewczynki.

— Nie wiedziałem...

Twarzyczka króla zachmurzyła się.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

---

*) Kobieta, pani—po indyjsku.

KRONIKA.

Wystawa łowiecka.

Bardzo interesujące widowisko miała Warszawa w dniach ostatnich. Była to wystawa najprzód dzieł sztuki, przedstawiających sceny z życia myśliwskiego, następnie rozmaitych wyrobów i artykułów, mających związek z łowiectwem, a nakoniec podziwiał kto chciał i mógł zbiór psów i piesków różnych ras, zawodów, pomiotów i t. d. Aby w sprawie tak ważnej nie obrazić terminologii, powiemy, idąc za sprawozdaniami pism codziennych, które kwestye takie nader sumiennie traktują, że były tam pointery, cettery, tropowce, jamniki i jamniki gończe, fox-terriery, charty, i tym podobne. Wybrane ad hoc grono sędziów, odznaczało okazy najcelniejsze, przyznając ich hodowcom medale złote wielkie i małe, wielkie srebrne i małe srebrne, rozumie się wedle stopnia zasługi, jaką dla ogółu położyli panowie producenci. Nie widzieliśmy żadnego z tych znaczków; nie wiemy jakie tam są emblemata z jednej a napisy z drugiej strony, wolno nam się w każdym razie jako emblematu domyślać podobizny psa, a jako napisu chyba tych kilku słów: „Krajowemu cynizmowi dobrze zasłużonym.“ Inaczej przecież być nie może ze względu, że my z greckiego brać zwykliśmy źródłosłowy do wszelkich gałęzi hodowli naszej.

Podobała nam się też nadzwyczajnie pomysłowość ujawniająca się w wyborze nazwisk niektórych sztuk nagrodzonych i nienagrodzonych. Między pierwszemi znajduje się tam suczka, oglądająca się na zawołanie „Pani,“ co uważamy za nader trafne i godne zalecenia, dla domów familijnych mianowicie, byle tylko służba była także z należytym cynizmem dotresowana, bo w przeciwnym razie mogłyby zajść pomyłki, dosyć nawet drażliwe w pewnych okolicznościach.

Jeśli prawdą jest co utrzymują niektórzy, że niższość intellektualna kobiety i jej chęć postępowania śladami geniuszu męzkiego są pewnikiem stwierdzonym, to powinnyby niewiasty niedalej jak w roku przyszłym dla dorównania swoim mistrzom i przewodnikom w życiu, stworzyć jakąś wystawę w tym samym rodzaju, choćby kocią naprzykład. Zapewniano nas jednakże z najlepszych źródeł, że nietylko niczego podobnego spodziewać się po kobietach naszych nie możemy, ale że między niemi są tak śmiałe, które z racyi tej właśnie psiej ekspozycyi odzywać się miały w tych wyrazach:

„Jednym z nas zarzucają, że wypełniają życie własne błahostkami i że wypełnić niemi usiłują życie mężczyzny, z którym ich los połączy — innym, że w zarozumiałości swojej sięgają po zadania dla nich niedostępne.

„Czyż te pierwsze, jakiemikolwiek byłyby winowajczyniami, mogą jednakże przykładać rękę do roboty lichszej, jak ta, na którą patrzymy, i mieć ambicyjki mizerniejsze od tych, które się zaspokajają tutaj? Strojnisiostwo kobiety, która utonęła cała w zaspokajaniu kaprysów mody, nie jest przecież ani grzeszniejszem, ani śmieszniejszem od męzkiego przywdziewania ubrań i oznak sportowych, a jej chęć szukania rozgłosu z noszonych toalet, warta co najmniej pożądania tych medalików i listów pochwalnych.

„Co do drugich, to odpowiedź o wiele łatwiejsza jeszcze będzie. W prostomyślności swojej patrzy kobieta na obszary całe odłogów w dziedzinie pracy obywatelskiej, patrzy, a nie widząc, żeby się jej przed nią chwytał kto inny, komu to niby z prawa ma przypadać, robi co może i jak umie, bo jużciż (dodają one wszystkie) czekać na to, aż się ten oto... ruszy do czego — niepodobna chyba.“

I co tu odpowiedzieć kobiecie takiego namiętnego sądu, żeby jako tako obronić mężczyznę?

Niech odpowie kto może.

Z miasta.

W dniu 4 Czerwca przyszła do skutku trzecia, po dwóch poprzednich spełzłych dla braku kandydatów, licytacya panoramy Tatr, która niedługo u nas gościła. Utrzymał się przy licytacyi p. Engeman, który obraz nabył za summę 1461 rs. a nabył, jak twierdzą pisma codzienne, dla jednego z naszych artystów-malarzy.

Ostatecznie panorama Tatr nie była chyba dla przedsiębiorców żadnym interesem w ciągu całego wystawienia jej w Warszawie, nie mówiąc o tem, że summa sprzedawna wydaje się nieproporcyonalnie nizką w stosunku do kosztów, jakie każde podobne dzieło za sobą pociąga. Opatrzyły się rychło miasteczku naszemu Tatry na obrazie, bo też nam wogóle wszystko się dzisiaj sprzykrzy i opatrzy w bardzo niedługim czasie. Wczesna młodość, czy przedwczesna starość?

W dniu 18 Maja r. b. odbyła się w magistracie tutejszym licytacya na budowę hall targowych przy ulicy Mirowskiej. Do licytacyi, która rozpoczęła się od oznaczonej summy 1,220,000 rs., stanęło trzech konkurentów i firmy: Endelman i Dawidsohn, a także towarzystwo budowy maszyn pod firmą K. Rudzki i S-ka. Firma krajowa Rudzkiego utrzymała się przy licytacyi.

Szpital św. Jana Bożego miał w roku zeszłym deficytu 20,690 rs. Rada miejska dobroczynności publicznej poczyniła starania u władzy o pozwolenie pokrycia tego deficytu z funduszów podatku pięciokopiejkowego, przeznaczonego na utrzymanie instytucyi dobroczynnych w Królestwie Polskiem. Widzimy tedy, jak zaniedbuje u nas dotąd ofiarność publiczna zakłady tego przeznaczenia co szpital św. Jana Bożego, podczas gdy rzeczywistość dotkliwie przypomina nam, że jeśli w jakim kierunku, to w tym przedewszystkiem zwrócić się ona powinna w naszych czasach.

W wynajętym przez zarząd miejski lokalu w domu Neprosa przy placu Teatralnym, pomieszczoną będzie galerya obrazów, stanowiących zbiory b. szkoły sztuk pięknych w Warszawie. Jest myśl aby nowootwieraną galeryę uważać jako początek muzeum sztuk pięknych.

Z kolei żelaznych.

Wedle sprawozdań ruch osobowy na głównych liniach naszych dróg żelaznych przedstawia się za rok 1898 jak następuje: przewiozły osób: Droga Wiedeńska 3,948,382 — Nadwiślańska 2,586,712 — Iwangrodzko-Dąbrowiecka 1,087,406 — Fabryczno-Łódzka 683,481. Co do ruchu towarowego pierwsze miejsce trzyma również kolej Wiedeńska, przewiozła bowiem towarów ogółem 319,632,399 pudów—po niej idą oba kierunki drogi Nadwiślańskiej, na których przewieziono towarów pudów 235,590,988—Iwangrodzko-Dąbrowiecka z transportem 174,436,115 pudów i nakoniec Fabryczno-Łódzka 82,121,080 pudów.

Wszelkie okazy, wysyłane na wszechświatową wystawę Paryzką w roku 1900, będą miały prawo korzystać z taryfy obniżonej o 50%. Zarządy kolejowe wydają odpowiednie świadectwa w trzech językach: rosyjskim, francuzkim i niemieckim, które dołączone będą do frachtów na dowód, że przesyłka przeznaczoną jest na wystawę.

Jedno z biur założonych w Petersburgu w celu ułatwienia przejazdów na wystawę Paryzką, otwiera w tych czasach w Warszawie oddział filialny.

Z Towarzystwa hygienicznego.

Na odbytem pod datą 8 Czerwca posiedzeniu członków tej instytucyi, odczytał redaktor Libicki projekt aktu rejentalnego między Towarzystwem a p. Lenvalem, fundatorem instytutu hygieny dziecięcej. O projekcie tego instytutu wedle myśli ofiarodawcy, podawał wiadomość „Tygodnik“ dosyć obszerną w roku zeszłym. Zwołanem będzie ogólne zgromadzenie na dzień 24 b. m. dla zatwierdzenia umowy. Oprócz spraw czysto specyalnej natury, które wypełniły porządek dzienny zgromadzenia, rozpatrywano w zarysach założenie filii Towarzystwa w Łodzi, co jednak odłożonem będzie prawdopodobnie na czas jakiś jeszcze.

Wskazówki i rady.

Grzanki do rosołu, krupniku, zupy szczawiowej, grochowej, kartoflanej i t. p.

Długą bułkę montową zwaną krakowską, obetrzeć zlekka na tarce, pokrajać na cieniutkie plasterki, ale ponieważ to trudno idzie, więc lepiej mieć dwa noże, jednym smarować bułkę młodem bardzo dobrem masłem, a drugim odkrawać zaraz cienkie grzanki; masło nie powinno być zbyt tward-. Posmarowawszy potrzebną ilość, posypać każdą tartym zielonym serem, lub kto lubi parmezanem, a można nawet szwajcarskim, najlepsze jednak z zagranicznym zielonym. Tak posypane ułożyć na blachę i wstawić tylko na 10 minut w piec średnio gorący. Gdy obeschną i zaczną chrupieć, wyjąć. Wyborne te grzanki nietylko do zup, ale i na przekąskę po wódce można podawać—powinny być dobrze suche.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою Варшава, 2 Іюня 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Cisza ta, straszniejsza od wszelkiej wrzawy, zwiastując ostateczne spełnienie przypadku, krew ścięła im w żyłach. Wilczek wstrzymał się zadyszany, włosy mu powstały, przycisnął obie dłonie do piersi; serce nieznośnie w nim kołatało.

Juliusz otarł znój z czoła, skinął obojętnie głową na znak skończonej tragedyi, i wolnym krokiem ruszył dalej za wyśledzeniem węzła przerażającej zagadki. Poszukiwania ich długo spełzały na niczem; próżno badali śladu ludzkiej stopy, nareszcie gęstwina poczynała rzednieć, tu i owdzie świeciły odarte świeżo z kory lub połamane gałęzie, jeszcze kilka kroków dalej — drzewa tuliły się ku wnętrzu lasu zastawiając w pośrodku mchem tylko i trawą zarosły wzgórek, najeżony wypalonymi pniami starych dębów, smętne niby, tajemne uroczysko Peruna zbiegłego w głąb borów przed chrześciańskim Bogiem.

Juliusz pierwszy wydarł się z gęstwiny, zatoczył śledczemi oczyma; krzykiem zadziwienia i zgrozy przywołał zdążającego za nim towarzysza.

Wilczek przyspieszył kroku, dopytywał zdaleka, ale Juliusz zdjęty niespodzianym widokiem, sam jeszcze nie umiał zdać sobie sprawy.

Wdeptana silnie trawa, drzazgi połupanych kijów, rdzawe, błyszczące jeszcze plamy krwi zakrzepłe na kępach mchu — świadczyły o upornej walce.

Na przeciwnym schyłku wzgórka, głową do ziemi, nogami ku wierzchołkowi, leżała ofiara, trup na wznak rozciągnięty, ale tak strasznie pomordowany, że na pierwszy pogląd trudno było odgadnąć, kim był za życia.

Głowa wyglądała nakształt spluskanego w krwi węzła sosnowych korzeni, mózg żółtawą miazgą błyszczał rozpryśnięty na trawie, pogruchotana czaszka sterczała z pod zlepłych włosów, w twarzy wywiercone, wyłupane dziury wzdymały stężałą posoką, strzaskane kości w ramionach i w nogach jeżyły się z pod zdartej w szmaty odzieży. Odzież to była szlachecka, wykwintna — sukno cienkie, dostatnia bielizna, ba, nawet porwany na szyi złoty łańcuszek i w bocznej kieszeni zegarek, wywnętrzony z kółek i z sprężyn—miara czasu dla posiadacza zbyteczna od chwili, gdy zaciekłość ludzka otworzyła przed nim wieczne otchłanie.

— Jeden z gości!... kto taki?... — zawołał, podnosząc nogą mniej uszkodzoną część twarzy. — Kto był na koniu?

Wilczek pochylił się ku ziemi, rozpoznał na skrwawionych szczękach rudy zarost i wraz przypomniał maść konia; spojrzał bacznie na składy ciała, na krótkie nogi, na brzuch opasły — powstał i rzekł:

— Nikt z gości, dzięki Bogu. Oddycham!... co teraz począć?

— Któż taki?

— Nie poznajesz go?... Lumpman!

Juliusz z wstrętem cofnął nogę, wypogodził oblicze, czekał dalszych objaśnień.

— Lumpman! — powtarzał Wilczek — zabity!... dla czego! przez kogo?... oczywiście nie przez złodziejów; byliby uprowadzili konia, zabrali zegarek... Dziwna!.. niepojęta!..

— Niespodziewaliśmy się upolować tak grubego zwierza — odparł Juliusz — winszuję ci łowów, a więcej jeszcze obławników; trzeba przyznać, że dzielną masz nagankę.

— Jakto — myślisz, że który z moich chłopów?..

— Bynajmniej! — ja zabiłem Lumpmana, albo też Niemiec sam się tak zajadle oszpecił. Między nami mówiąc — rządca twój nie musiał we wsi miodem smarować języków; galicyjska wendeta!... postęp nie lada!... Chłopi twoi zamiast pracy w polu, czytają zapewne anegdoty o Korsyce.

— Patrz, jak się nad nim pastwili!... ile ran!... ile uderzeń!...

— Prawda — zewsząd wyganiali mu duszę — bali się aby nie ożył. Niepotrzebnie wpatrujesz się w trupa; wzrokiem go niewskrzesisz, a sam stracisz apetyt do mięsa i nie będziesz mógł zasnąć.

— Miałem po co wracać na wieś! — rzekł Wilczek z goryczą, piękne czekało mnie przyjęcie. To dopiero początek — a co dalej?

— Dalej?... nic! Mniej jednym złodziejem na świecie. Ostrzegałem cię, abyś nie przyjmował Lumpmana — nie chciałeś wierzyć. Wreszcie, kto wie, czy nie lepiej że się tak skończyło?... łotr byłby nie mało przyczynił się do twojej zguby. Opatrzność uprzątała ci jedną zawadę. Sam powiedz, czy nie mam słuszności, zwąc cię zepsutem dzieckiem Fortuny? W czepku się urodziłeś — na honor!

— Komisye — zjazdy — sądy — wykupy!.. cały szereg przeklętych następstw.

— Drwij z tego!... W czemże ciebie obcho dzi zabójstwo Lumpmana?... Odprawisz sąd na folwark i słyszeć o nim nie będziesz. Kilku chłopów powieszą, kilku zasadzą do kryminału — tem lepiej!.. Hultajstwo przytuli uszy i na długo się uspokoi. Do stu piorunów!... nikogo nie widać. Brakuje tylko, aby jaka podejrzana dusza zaszła nas zniénacka krzątających się wedle trupa. Daj róg — zatrąbię.

Wilczek stał z założonemi na piersiach rękami; bezwładny, opętany strasznym widokiem, nie mógł zdjąć oczu z ofiary.

Juliusz podniósł mu ramię, wziął róg i pełną piersią na gwałt zatrąbił.

Przyłożył dłoń do ucha; wystrzelił z obu luf i znowu zadął.

Tym razem mnogie głosy odpowiedziały na odzew; bieżono zewsząd, wołano, pytano i wkrótce goście, strzelcy, domowi, obławnicy, cała czereda, cisnęli się jeden przez drugiego, wspinali na palcach, zaglądali przez głowy — każdy chciwy widoku, ciekawy wieści, trwożny, mnożący zapytania, nie czekający na odpowiedź.

Tuż wytrysnął jak z pod ziemi mandataryusz, rządowo policyjna osoba i jako taka, wprawiona do wietrzenia krwi, zjawiająca się nieochybnie wszędy, gdzie sprawa trąciła cesarską grabieżą, kajdanami lub szubienicą.

Krucza postać przedstawcy władzy zwróciła powszechną uwagę; zdawało się, że urzędnik z urzędu posiada i wytłumaczy tajemnicę; ucichły gwary w oczekiwaniu na prorocze jego wyrazy.

Mandataryusz stwierdził tożsamość trupa i rządcy Lumpmana, ale zamiast jasnowidnych wniosków sam obejrzał się do koła, jak gdyby od którego z obecnych czekał na objaśnienia lub spowiedź.

Nikt ust nie otwierał.

Z różnych wiosek hrabiego spędzona na obławę ludność, wodziła po sobie osłupiałemi oczyma; każdy zarówno nienawidził ciemiężcę w duszy, żaden atoli nie mógł pochwalić się spełnieniem miłej wszystkim zemsty. Sama mnogość zebranej zewsząd gromady utrudniała wykrycie prawdy.

Mandataryusz rzucił kilka zapytań. Chłopi wzruszyli ramionami; kilku z nich, a między tymi znajomi nam Samko, Damko i Stach narzeczony Małgośki zbliżyli się do trupa, powątpiewając głośno, ażeby takowy za życia zwał się Lumpmanem, drudzy jednak, dworscy zwłaszcza i dozorcy, ten po odzieży, tamten po sygnecie na palcu, ów po zegarku, wyraźnie rządcę rozeznali w nieboszczyku.

Mandataryusz zaciął usta, wypatrywał śladów krwi na rękach i na sukmanach; cudzoziemska krew nigdzie nie przystała do chłopskich łachmanów — uczepiał podstępne dopyty, zapowiedział wreszcie sądową komisyę, która wzwyczajona do obrotów z rozbójnikami, i w obecnym wypadku nie mogła niedotropić się zbójeckiej szajki.

— Kto zawinił, a milczy — prawił cesarski urzędnik, miotając między gromadę przenikliwe wejrzenia — ten podwójną karę poniesie, gdy prawda wyjdzie na wierzch; kto zna zbójców a nie wyjawia, ten srodzej będzie karany od samych zbrodniarzy; kto dobrowolnie się przyzna, na tego spadnie wyrok o połowę lżejszy; kto doniesie, ten otrzyma nagrodę. Żaden się nie odzywa?... Konieczenie chce się wam kija i więzienia?... — zapowiadam, że jednego i drugiego sąd nie będzie skąpił. Ty, co z podełba patrzysz — mów co wiesz!... szubienica nieboraku patrzy ci z oczu, jeżeli jedno słowo zataisz.

— Juścić kiedy Wielmożny Pan pyta, wygadam wszystko co wiem — odparł potulnie parobczak, wsparty rękami i brodą na sążnistej pałce.

Wyraz tajemnej radości wypełzł na twarz

mandataryusza; obecni ciekawie nadstawili słuchów.

— Mów — spiesz się!... wiesz co cię czeka, zapłata lub kije!... — krzyknął urzędnik — co masz do powiedzenia?

— Zeszłej Niedzieli — rzekł parobczak — rządca, Panie daj mu wieczny odpoczynek, przyjechał był nad wieczorem do naszej wsi, do Polanki. Pan dozorca oto świadkiem. Kazał zwołać gromadę i nakazał obławę; potem wsiadł na bryczkę, uchylił czapki i powiedział: „bywajta zdrowi dzieci." Wojciech, furman jego, co łońskiego roku dwa razy się topił, zaciął po boku Ickową siwą kobyłę, co pan rządca kupił ją na Wielkanoc u Icka młynarza; my pokłoniliśmy się ku ziemi i pojechał.

— Dobrze; potem przyszliście na obławę, i cóżeś widział w lesie?

— Potem kazali nam hukać; hukaliśmy, łomotali kijami po krzakach. Jasiek od sołtysa powadził się z ławniczukiem o kromkę chleba, porwali się za kudły i wodzili; ledwo ich mogliśmy rozbroić.

— Nie o to rzecz chodzi. Pytam, czy widziałeś pana rządcę w lesie, z kim, gdzie i kiedy?

— Pana rządcy — żaden z nas na oko nie widział. Dozorca pędził nas od chróśnika, wedle księdzowej włóki. Nadleśny był u nas, koń mu kulał — snać licho podkuty. Od śmierci starego Kuźmy kowala, nikt konia nie podkuje. Ale co pana rządcy, nie widzieliśmy od Niedzieli.

— Cóż więc wiesz o jego zabójstwie?

— Co ja mam wiedzieć Wielmożny Panie? Nic nie wiem; niech mnie choroba zatłucze, jeżelim co słyszał.

— Błaźnie!... — krzyknął urzędnik — kręcisz jak lis przed psami; zaczekaj — inaczej ty zaśpiewasz. Ostatni raz pytam po sprawiedliwemu, kto wie o zbójcach i za co pana rządcę zabili?

— Wżdyć i on ludzi mordował, Wielmożny Panie; nosił wilk długo, ponieśli i wilka, wtrącił zgarbiony we dwoje starzec, żebrak, jak się pokazywało z kosztura i z przewieszonej na nim torby.

— Kogo mordował?... — wrzasnął inkwirent — podnieś no łeb do góry! Ha, niegodziwcze, powiadasz że ludzi mordował, złorzeczysz mu jeszcze po śmierci! Rozmówimy się bliżej. Sołtys! w dyby tego hultaja — odstawić mi go pod strażą! Czyś tylko ty stary puchaczu nie umoczył przypadkiem ręki w dzisiejszej sprawie.

— To Hryćko! stary pastuch — zawołała gromada — niedowidzi i złamaną ma rękę; muchy by nie odgonił — ledwo nogi powłóczy. Siedział nad rowem i pasł bydło.

— Stary czy młody, pastuch czy bydlę — jeżeli niewinny, nic mu nie zaszkodzi w turmie. I tego także z kosemi oczyma, i tych dwóch co się tak szczerze za nim ujmują — związać natychmiast i doprowadzić do wsi. Żywo!... za jednego wszyscy mi odpowiecie. Ha, łajdaki — smakuje wam cudza krew—posmakują i waszej. Dalej—naprzód, w drogę!...

Mandataryusz rozdał do koła kilka kułaków; dozorcy wzięli się do wykonywania jego rozkazów podczas, gdy chłopstwo ponure, zmarszczone, ze spuszczonemi głowami, nizało na nić strwożonej wyobraźni sąd, szubienicę, kryminał, kajdany, więzienie i śledcze męczarnie.

Gromada rozchodziła się w milczeniu, tłumiąc przekleństwa i złorzeczenia duszy Lumpmana, który nadoskwierawszy jej tyle za życia, śmiercią jeszcze wpędzał lud w ostatnią głębinę rozpaczy i nieszczęścia. Niemiec trupem swym umiał biedakom dokuczyć, zanim do piekła zawleczon, ztamtąd nawet wróciłby upiorem, aby resztki życia ze swych ofiar wysysać.

Ale jeżeli wieś, smutnie, posępnie wyciągała z lasu, towarzystwo dworskie nawzajem, nie mogło chełpić się zbyt wesołem usposobieniem. Gospodarz zwłaszcza, pomimo wszelkich usiłowań nadrobienia miną, widocznie był zwarzonym.

Za życia Starościny, a bardziej jeszcze za rządów jego matki, nie trafiały się na wsi podobne zdarzenia; lud inną miał powierzchowność, innym spoglądał wzrokiem. Wilczek od dawnych lat, pierwszy raz na obławie stanąwszy w obec gromady, nie mógł ukryć przed sobą bolesnego wrażenia, jakie na nim sprawiły wychudłe, groźne oblicza chłopów, postacie okryte łachmanami, dzika ich obojętność, a nawet tu i owdzie szyderskie uśmiechy na widok strasznie pomordowanego trupa. Oczywiście, lud musiał cierpieć; nędza i ucisk rozwijały w nim zbójeckie skłonności — gdzie atoli leżała przyczyna wynaturzenia chłopa naszego—kto był głównym winowajcą?...

Wilczek uciekał przed odpowiedzią.

Powrót do pałacu odbył się w powszechnem milczeniu; każdy miał przed oczyma ofiarę niesłychanego rozbestwienia człowieczych namiętności, głód nadto zaczynał gościom dokuczać, wiadomo zaś że człowiek o głodzie staje się dziwnie nieprzystępnem stworzeniem. Szczęściem, stół czekał zastawiony; towarzystwo w zaspokojeniu żołądka pogrążyło przykre wspomnienia, zgryźliwe uwagi, skoro zaś wesołość wzbraniała się wzbić do góry śmiałemi skrzydły, uderzano jej na pomoc w kielichy. Krążyły jedne po drugich częste a pełne, wyrywały się zachęcające toasty, gospodarz pierwszy dawał przykład. Juliusz nigdy nie wyiskrzył tyle ostrego dowcipu; śmiano się, ale ucinanym śmiechem, rozmawiano, ale niesfornym gwarem.

Skałka napróżno przytaczał zadziwiające dzisiejszego poranku strzały, wyliczał wady i zalety psów, rozpowiadał cudowne dowody swojej zręczności; słuchano go z roztargnieniem.

Dzieduszycki wychwalał swoje konie, Borkowski nucił bachiczne piosnki, Mier znany z dziwactw, kręcił się jak fryga i pienił ze złości za każdem słowem; końskie rodowody, wesołe śpiewki, wybuchy Miera, zwijały się płazem; dżdżyste łowów powietrze ciężyło każdemu na mózgu.

Juliusz dał znak do powstania od stołu; towarzystwo przeniosło się do salonu, gdzie rozstawione zielone stoliki obiecywały gorętsze zajęcie.

Nadzieja i tu zawiodła gościnne oczekiwania gospodarza. Gra wlokła się kulawo; los za nikim stanowczo się nie oświadczał. Młodzież wyginała się bez energii, sam Juliusz z półprzymrużonemi oczyma rzucał ziewając bankierskie karty; strudzone ciało polowaniem, nie rozrywki domagało się, ale spoczynku.

Jeden z obecnych wtrącił wzmiankę o łóżku; reszta chórem odpowiedziała na wezwanie. Służący poodprowadzali gości do wyznaczonych pokojów; niebawem światła w pałacu pogasły. goście i domownicy usnęli snem głębokim.

W jednym tylko pokoju świeca dłużej gorzała; jednych tylko powiek całodzienne utrudzenie nie mogło odrazu zamknąć.

Wilczek w samotnej komnacie przechadzał się szybkiemi kroki; tłoczył czoło gorącą dłonią, jak gdyby silił się w ład uszykować rozprzężone myśli, stawał przed oknem, dzwonił w szybę, spoglądał, w ciemne od chmur i nocnych kirów, niebiosa.

Wiatr ze smutnym jękiem wałęsał się po ogrodzie; świerki i wysmukłe topole chyliły ku sobie korony, pogrążone w grobowych jakichś dumaniach; psy folwarczne nieznośnie wyły w oddali, dręczone chłodem, lub może przeczuciem złowrogich wypadków.

Wilczek rzucił się nierozebrany na łoże, aby u poduszki wyżebrać jedną choć chwilę wytchnienia, jedną chwilę ulgi dla rozpalonej głowy. Światło drażniło mu źrenice, widok przedmiotów od kolebki niemal znajomych budził w nim gryzące wspomnienia. Zagasił świecę; przed pamięcią, przed myślami, przed samym sobą ukrył się w ciemność.

Powoli, dziwna niemoc spłynęła mu na członki; czuł się na jawie i w zupełnej bezwładzy zarazem. Straszne majaki występowały mu przed wyobraźnią, zmora rozszalałej krwi siadała na piersiach, łoże i dom cały kołysały się jak okręt śród burzy. Niepojęte dźwięki grały mu w uszach; wrzawa obławników, huk broni, skowyczenie psów, jęki mordowanego człowieka, zgrzytliwe pośmiechy Juliusza i kształty jakieś fantastyczne snuły się przed nim w upiornych korowodach.

Wilczek nie mógł wytrzymać dłuższej męczarni; zerwał się i równemi nogami stanął na środku pokoju.

Przetarł oczy; piekielny sen ciągle go ścigał. Ściany w istocie stały w płomieniach, krwawe światło strumieniami lało się przez okna.

(Dalszy ciąg nastąpi).